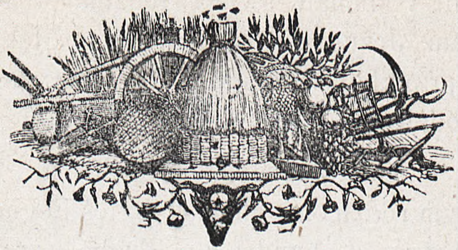
Tom XVI. Nr. 4.

1. lutego 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziécię Jezus.

Jutrzenka zabłysła nad Nazaretem — nad domkiem Marji i Józefa dziwne modlitwy i cudowne pieśni nieśli zdumiali Anieli do tronu Bożego, bo modlitwy Matki Boga, pieśń Piastuna Bożego... A modlitwa samotna dwunastoletniego Jezusa wielbiła Ojca Niebieskiego — a Ojciec wielbił Syna. Po modlitwie nastąpiła praca. — Józef św. już siekierą się odzywa, Marja przeczysta bierze wiaderka i idzie po wodę. I ktoż jej drogę zastępuje? Chłopczyna piękniejszy jak maj i jutrzenka, słodszy jak Anieli — a prześwięta pogoda bije od oblicza. To dziécię Jezus — miłe targi wszczyna z ukochaną Matką, bierze jej wiaderka i bieży po wodę. Patrzyła za nim Marja z łzą niepojętej miłości, na swego Syna i Boga, i stała cicha, pokorna przyjmując pokorę, posłuszna przyjmując posłuszeństwo, służebnica pańska przyjmując usługi świętego Syna. Dla czegoż nie przyniosła Marja sama wody, kiedy tak zawsze skora i pracowita, tak rada wszelki ciężar ująć sama i ująć Jezusowi? Czemu nie wyręczył jej Józef, Józef taki uprzejmy, miłujący?

Czemu tej usługi nie wyrządzili jej Anieli, którzy gotowi byli na rozkaz swej królowej? Czemu nie uczynili tego ludzie, którzy tak czcili i kochali świętą rodzinę w Nazarecie? Oto dlatego, bo sam Jezus chciał uczynić to Matce swej ukochanej, aby dać przykład wszystkim dzieciom, jak mają kochać, służyć swym rodzicom.

O słodkie dziécię Jezus! tak posłuszne, tak wdzięczne, tak usłużne twym rodzicom, chociaż byłeś Bogiem i Panem, czy widziałeś już wtedy wszechwidzącym Twym wzrokiem i w Twoich snach krzyżowych, wyrodną niewdzięczność tych dzieci co dotychczas depcą Twój przykład i przykazania? Czy słyszało już wtedy święte ucho Twoje te bluźnierstwa, waśnie, swary i obrazy dzieci ludzkich?... O zaprawdę głęboko w świętą głowę Twoją wnikał ten cierń niewdzięczności i nieuszanowania dzieci ludzkich!

Ileż dzieci dzisiaj zamiast służyć rodzicom starym, wymagają jeszcze ich pracy i wypominają chleb; zamiast szanować i kochać, poniewierają, znieważają! Biada już — jeźli człowiek najpierwszy obowiązek depce — matki, matki swej nieszanuje! Jakie to słodkie Imię Matka! jak je uświęciły jeszcze usta Jezusowe, wymawiając z czcią i miłością! Biada kto matki nie szanuje! Do dziesiątego pokolenia ciężki odwet oddawany mu będzie!

Dziatki chrześcijańskie! patrzcie na Jezusa z wiaderkami i uczcie się od Niego szanować i kochać rodziców!

B. E.

Spiewka.

Karczmareczko nasza!
Jeszcze jedna flasza;
A my dziś w gospodzie,
Cieszmy się przy miodzie.

Kiedy ucieszony
Idę przez zagony,
Nie zapłaczę sobie,
Że tak ciężko robię.

Rosłego jak trzcina,
Mam na wojnie syna,
Twarz młodego wieku,
Gdyby róża w mleku.

Jeśli on po boju,
Wróci mi w pokoju,
Zapomnę o miodzie,
I naszej gospodzie.

Już ja po niewoli
Wezmę się do roli;
Wszystko nasze zboże,
Opłacić nam może.

Sprawię mu sukmanę;
Pasiki kowane;
Będą o nim dziewki
Wykrzykiwać spiewki.

Chłopek.

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

Pracowity chłopek,
I żywi i broni,
Żywi jego snopek,
I strzecha osłoni.

Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia,
On na niej wnet kłosy,
Wnet wawrzyw rozplemia.

Pługiem on w pokoju,
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pospiesza w obronie.

Te błyszczące grody,
Te wielkie pałace,
Jego to zachody,
I jego są prace.

Jego jest ciężarem,
Co drugi roztrwoni,
On na to pod skwarem
Z bydlęciem pot roni.

Z dziećmi on głodnemi
Te ziarneczka zgania,
Co uzyska z ziemi
Marnie nie roztrwania.

W pomoc kraju bieży,
Za pańskiemi syny,
Wszędzie on należy,
Prócz zysku i winy.

Sam po każdej stracie
Od nędzy nas chroni,
W swojej tylko chacie
Jej mieszkać nie wzbroni.

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Rolnika poniża.

Kazimierz Brodziński.

*

Dokąd prowadzi nauka z cnotą.

Opowiedział Tadeusz Korwin.

(Ciąg dalszy.)

X.

X. Prefekt.

W sklepionej, zaciemnionej izbie, gdzie w okolusko po pod ściany stały szafy pełne książek, przed stolikiem nakrytym zielonym suknem, siedział x. prefekt. Był to przełożony szkoły, niby wójt studenckiej gromady.

Przed nim leżało mnogo drobniutko zapisanych papierów, on w nich czytał. Od czasu do czasu wchodzili profesorowie, lub wsuwali się jeden po drugim studenciki. Właśnie nie było nikogo, ostatni z uczniów wymknął się cichaczem, otrzymawszy tęgą burę za jakiś tam spłatany psikus, a na łagodnej twarzy x. prefekta jaśniał jeszcze rumieniec gniewu.

Wtem drzwi się rozwarły i wszedł pan dyrektor prawie ciągnąc za sobą bladego i trzęsącego się Semenka.

X. prefekt zwolna podniósł oczy od papierów, w których coś szukał, i spytał:

— Cóż tam powiesz, kochany panie Michale?

Pan dyrektor skłonił się niziutko, a wlokąc bliżej wystraszonego Semenka, odpowiedział, że przyszedł wpisać do szkoły to tego nowego studenta.

Po kilku w takim razie zwykłych zapytaniach jak się nazywa, gdzie i jak się dotąd uczył, x. prefekt orzekł, że Semenka przyjąć można do drugiej klasy; a dowiedziawszy się; że tenże własną pracą ma się utrzymywać w szkole, pochwalił mu ten szlachetny jego zamiar i przedstawił dobrodziejstwa nauki. Przykazywał mieć w sercu Boga, pracować szczerze a ochoczo, i starszym być posłusznym.

Wkrótce po odejściu Semenka z p. dyrektorem weszli do kancelaryi x. prefekta majster Szymon z swoim wychowańcem, Iwasiem.

Pan majster tym razem był trzeźwy; choć sądzę, że na kuraż musiał łyknąć naparsteczek okowitki, bo oczęta uśmiechały mu się figlarnie, a na nosie się czerwieniło.

Iwaś wszedł nieśmiało, lecz wnet się opamiętał i na pytania x. prefekta odpowiadał wyraźnie i jasno.

I on został przyjętym do drugiej klasy, byli więc znów kolegami Semeńko i Iwaś.

XI.

W szkole.

Darujecie mi, moi mili, że miasto wam opowiadać dzień po dniu, co w szkołach porabiali nasi chłopacy — przeskoczę od razu o kilka lat naprzód. Bo już to, moiściewy, znudziłoby was, gdybym chciał spisywać wszystkie drobnostki, a ja życzę sobie zachować aż do końca waszą uwagę. Więc tak pokrótce powiem wam, że oto już i czwarty rok się zaczął ich pobytu w mieście, a przez ten czas chłopcy podrośli w parobczaków.

Semeńko, pokorne i dobre chłopię — mający miłość i cześć u wszystkich, którzy go znali, nie był już więcej u pani Kwiatkowskiej. Starowinka, zaziębiwszy się przy robieniu powideł, zaniemogła, a chyrlając kilka miesięcy Bogu ducha oddała.

Semeńko, płacząc rzewnemi łzami, odprowadził dobrodziejkę do grobu, a z jej utratą utracił nadzieję utrzymania się dalej w szkole. Lecz Bóg opiekuje się biednymi, którzy mu zaufali, ta i ludzi miłosiernych dość na tem świecie. Doznał tego Semeńko, bo pewien stolarz przyjął go w komorne, XX. Bazylianie żywili go, a terminując zarazem w warsztacie zarabiał sobie jako tako na przyodziewek.

Inaczej działo się z Iwasiem, który już od roku kazał się nazywać panem Johanem, przebrał się z szlachecka i za namową pana Szymona używał świata. Nie potrzebował on, jak nasz Semeńko, pracować w pocie czoła na kawałek chleba, a lenistwo i próżniactwo są zwykle rodzicami wszystkiego złego.

Zkąd pan Johan brał pieniądze na rozmaite wydatki, na częstowania kolegów i karteczki (bo i tego już się był przyuczył) nikt nie wiedział i nikt odgadnąć nie potrafił.

Domyślali się tylko ludzie, że stary Hawryło musiał dawać wnukowi, a widać dawał dużo, więc było z czego hulać. My zaś, którzy znamy skąpstwo i chciwość grosza Hawryły, my nie łatwo możem uwierzyć, żeby to było prawdą. Wprawdzie Iwaś odwiedzał często dziadusia i matkę, która wydawszy się za drugiego, do jego gruntu przystała, i przywoził ztamtąd papierki i białe cwancygiery — lecz jakim sposobem on je nabywał — wnet się dowiemy, moi mili.

Z Semeńkiem Iwaś rzadko się już widywał po za szkołą, a spotkawszy się ledwie raczył doń zagadać, bo Semen szanując wolę ojca, nosił jak przedtem ubior chłopski, a włosy przystrzygał krótko nad czołem.

Zresztą Iwaś strofowany często od nauczyciela za rozpustne życie, a mając sobie stawiany za przykład Semeńka, zniechęcił się do tegoż, kpił z jego ubioru, przezywał chamem i prostakiem. Bolało serce Semeńka, gdy widział, że oni swojacy, przyjaciele od kolebki, mający wspierać się nawzajem radą i uczynkiem, tak daleko się rozeszli; cierpiał na tem, że Iwaś poszedł na tak złą i niebezpieczną drogę. Raz nawet spróbował go łagodnie upomnieć, lecz kiedy Iwaś srodze się nań ofuknął i lżyć począł, umilkł z pokorą.

Od tego czasu rok już mijał i nie widywali się już nigdy. Semeńko ślęczał nad nauką, która nie szła mu nader łatwo, uczył za kilka krajcarów młodszych studentów, i pracował w stolarskim warstacie; Iwaś hulał sobie i bankietował po miasteczku, żydom figle płatał, a do szkoły rzadko już zaglądał.

XII.

Śmierć dziadusia.

Na obejściu i w chacie Hawryłowej tłum kobiet i dzieci. Kto nie mógł przepchać się do środka, staje na przyzbie i zagląda w okno. A wszyscy naraz wrzeszczą i piszczą, że się zrozumieć nie mogą.

Chrzciny to czy wesele‘ czy jaka biesiada będzie?

Oj nie wesele, nie biesiada, lecz będzie stypa!

Bo na środku izby leży stary Hawryło, twarz mu sina, oczy białkiem zaszłe, ciało jak lód zimne. W jednej ręce sko-

stniałej zacisnął spory worek, na którego spodzie leży kilka cwancygierów; a drugą chwycił się za serce, jakby chciał przydusić jego boleść. Obok rzucony wala się rozwarty, a próżniusienki worek, snać stary Hawryłów kum i przyjaciel.

Najbliżej trupa stoją dwie kobiety — pierwsza to Hafija, Semeńkowa matka; druga Maryna, służąca Hawryły.

Maryna z płaczem opowiada otaczającym, jak stary wysłał ją w pole na robotę, nie każąc nawet warzyć obiadu; jak ona wróciwszy koło południa, zastała chatę zapartą, więc siadła na przyzbie czekając, bo myślała, że Hawryło do karczmy poszli. Lecz potem z ciekawości zaglądnęła przez okno, i, o wielki Boże, zobaczyła Hawryłę, leżącego na środku świetlicy. Więc narobiła krzyku, przybiegła Hafija, co chatę swą bieliła, zbiegli się i drudzy — drzwi odbito przemocą, lecz ratunku już nie było — bo Hawryło już nie żyli.

W tych prostych słowach opowiedziała poczciwa sługa. Lecz cóż było przyczyną tak nagłej śmierci? Co miał oznaczać ten worek w Hawryły ręku i kaléta obok leżąca?

Rozpatrzywszy się uważnie, wnet możemy dójść przyczyny. Oto wprost nad głową leżącego Hawryły widno w belku, wyzłobiona dłutem spora jamka, dająca się z wierzchu przymknąć tak szczelnie przypasowaną deszczułeczką, że ani szparki nie zostawiała. Tam zapewne chować musiał Hawryło pieniądze zaoszczędzone skąpstwem lub wyduszone lichwą; z tamtąd i teraz wyciągnął worek, bo dziura stała otworem, a ława pod belek przystawioną, po której wyłaził.

Lecz zamiast swoich ukochanych pieniędzy, Hawryło znalazł szczere pustki, a boleść skąpca za utraconym groszem była tak wielką, że z żalu serce mu pękało i padł trupem odrazu.

Bóg wielki a niedościgły w swoich sądach, ukarał grzesznika tem właśnie, czem za żywota przewinił, i zesłał nań śmierć raptowną bez żalu i skruchy za popełnione grzechy, bez pociechy kapłana, bez pożegnania ostatniego tych, których ukochał sercem a pozostawiał na ziemi!

Kiedy wieść o Hawryłowym końcu i o zakradzionych pieniądzach rozeszła się po wiosce — każdy, choć na pewne nie wiedział o sprawcy tej kradzieży — odgadywał go.

XIII.

Co porabia Iwaś?

Naprzeciw ratusza w samym rynku miasta Buczacza, stało brudne i obszarpane, żydowskie domostwo, a nad drzwiami obok sosnowej wiechy, wisiała tablica. Na niej stał jakiś wymalowany figlas, co to niby miał być karpiem czy karasiem, tuż pod nim napis:

„Pod zlotym rybiem Wiszyng trunkuf rozmaitego“.

W tem to szynku u czcigodnego pana Moszka Gugla, który wszystkich swoich gości, noszących surduty i kapoty, nazywał Jaśnie Wielmożnemi, niziuteńko im się kłaniał a rachuneczki robił podwójną kredką — w wieczór dnia, w którym skończył Hawryło, zgromadziło się dużo ludzi. Żyd nie mógł nastarczyć wódki, piwa i miodu, tak gęsto zasiedli stoły mieszczanie i chłopi; zwijał się podkasawszy żupan, a żydowica i młode żydziuki odbierali pieniądze stojąc za szynkfasem. Prócz tego pan Moszko musiał często gęsto zaglądać do alkierza, gdzie się usadowili jego rarytni goście.

Tu rozparł się na ławie pan Szymon Źbik, sławetny majster szewski miasta Buczacza, a drobniuśkie jego oczka i potężny nosio uśmiechał się słodziuchno do stojącego na stole miodku. Dalej siedziało dwóch strażników, co to soli i tytoniu pilnują; przy nich jakiś obszarpaniec z tych, którzy jako podróżni żebrzą po dworach i chatach, a daną jałmużnę przepijają w najbliższej karczmie; naprzeciw włóczęga z jednej z okolicznych wiosek, człek chudy i długi, jak drabina, i znajomy nam Iwaś, czyli nie ubliżając mu jego honoru, pan Johan, ubrany w niebieski surdut, białą kamizelę i żółtą chustkę pod szyją.

Snadno odgadnąć jak się ci pankowie zabawiali, bo na stole obok szklanek z miodem, wódki w zielonej flaszczynie i żydowskich szabasowych guglów, leżą brudne karciska i pieniądze.

Lecz nie wszyscy grają w karty — oprócz Iwasia i obydwóch strażników, inni przyglądają się tylko, a sławetny pan Szymon, któremu wódka i miodek milsze nad wszystkie inne

zabawy, trąbi siarczyście ze szklanicy, pogłaskuje łysinę i rozwesela towarzyszów swojemi żartami.

Naprzeciwko strażników siedzi Iwaś, w ręku trzyma karty, a za plecami jego włóczęga z uśmiechem lisa na twarzy, daje od czasu do czasu jakieś znaki rękami i głowę grającym naprzeciw. I raźnie a bez ustanku pieniądze leżące przed Iwasiem przenoszą się przed jego przeciwników. Iwaś rzuca się gniewny, drze karty, lecz gra dalej, bo żal mu przegranej i wstyd fałszywy przestać, gdyż dobrzy koledzy gotowi pomówić o brak lub skąpstwo. Gra więc dalej, przegrywa coraz więcej i gniewa się z każdą chwilą gorzej.

— Mosterdzieju, panie Janie, padam tobie, nie grywaj w te przeklęte karty, bo łeb będziesz miał obdarty — a łysiną i dziurawą kieszenią będziesz ludziom baki świecił! — odezwał się pan Szymon, a obydwaj strażnicy i włóczęga takim zyzem popatrzyli na niego, że umilkł biedaczysko i oczy schował w szklanicy z miodem.

Właśnie strażnicy zmieniali Iwasiowi ostatniego ryńskiego.

— Lepsza za rynia, choćby też dynia — jak figa! Szepnął pan majster i palcami pokazał Iwasiowi figę.

Wtem ktoś nowy wszedł do alkierza, i nieśmiałym głosikiem spytał, czy tu jest Iwaś?

Wszystkich oczy podniosły się naraz ku pytającemu, a obszarpany podróżny, korzystając z tej przerwy, tak jakoś przypadkowo sprzątnął jednego śrebrnego szóstaka z przed panów strażników i spuścił gładko do kieszeni.

— Djable w niebie, w szynku Ciebie, panie Semenie, dalipan nie spodziewałem się obaczyć! — zawołał pierwszy pan Szymon.

— Ho! ho gapiu, to i ty, co się w świętoszka bawisz, zaglądasz koło północka do Moszka wódeczki! Ciągnął dalej Iwaś drwiąc z przybyłego.

— Snać nabywa dobrego gustu i poleruje się w mieście — dogadywał majster No, no serdeńko, nie wstydź się żeś zastał znajomych, my cię z sekretu nie wydamy. Ot siadaj tu blizko koło mnie i mów co wolisz: Wódeczkę co rozgrzewa,

czy miodek co słodkim bywa? Boś przecie nie klecha, żebyś pił piwo i spasał się na nim!

Semeńko tak na razie obsypany drwinkami, jeszcze bardziej się zmięszał, chciał mówić, lecz język nieposłuszny bełkotał tylko w gębie, a słów nie było słychać.

— Patrzcię ciurę, który w lisa się bawi! Jak się przestraszył, to i języka w pysku zapomniał — zawołał Iwaś i potrząsł nim silnie za ramię.

Na teraz Semeńko jakby cudem przyszedł do siebie i głosem, w którym słychać było i żal nad temi zepsutemi ludźmi i jakąś boleść serca, przemówił:

— Nie żartowałbyś Iwasiu; Bóg z tobą! Nieszczęście stało się wielkie — Hawryło nie żyje!

Z Iwasia twarzy krew uciekła naraz, pobladł jak chustka a ręką chwycił się stołu, aby nie upaść.

Jeszcze miłość do dziada, który go wypiastował i wyniańczył, nie wygasła ze wszystkiem w jego sercu.

— Wiwat dziadek nad dziadkami, krzyknął pan Szymon, o toż to mi w sam raz zadarł nogi, aby tobie panie Janie zostawić swoje pieniążki, mosaneńku!

I jeden po drugim wszyscy koledzy zaczęli winszować Iwasiowi bogatego dziedzictwa.

— Wódki, miodu! Niech za dziadka zdrowie, zaszumi w mej głowie — wołał pan Szymon, a we łbie już mu tęgo szumiało.

Iwaś jakby zimną wodą oblany, pomiarkował się już w pierwszej boleści — oprócz pomięszania, które widocznem było na jego twarzy, wstyd mu było, że w smutku swoim dał się przydybać kolegom.

— Kto ci to powiedział — Semeńku? spytał łagodnie.

— Parobek Hrynio, który za tobą przyjechał. I opowiadał dalej o nagłej śmierci Hawryłowej, o zakradzionych pieniądzach. Opowiadał długo i szczegółowo.

Na Iwasiu znać było coraz większe pomięszanie, nogi pod nim dygotały, a zębami dzwonił jak we febrze.

Podczas opowiadania Semeńka, koledzy wynieśli się cichaczem z alkierza. Pozostał tylko pan Szymon, któremu miodek tak poszedł w nogi, że wstać nie mógł z ławy.

— Jedź, jedź, Iwasiu, wóz czeka przed domem — kończył Semeńko.

— A ty?

— Ja jadę z tobą! I obydwaj wyszli, lecz w drugiej izbie czatował na nich Moszko, który widocznie podsłuchiwał pod drzwiami.

— Nu panie Johan, a mój pieniądz?

— Później zapłacę!

— Tfu, co to później? Ja już dosyć borgował, płać Wacpan! szwargotał Moszko, a za połę od surduta trzymał Iwasia.

— Ależ ja nie mam teraz — słyszysz żydzie!

— Mam, cy ni mam — to nie wielki dla mnie frasunek! Płać dwa ryńskie, albo zostaw surdut. Co to łapserdakowi udawać pana.

Iwaś poczerwieniał ze wstydu.

Wtem poczciwy Semeńko wybawił go z tak niemiłego kłopotu, bo mając właśnie przy sobie ciężko zapracowany pieniądz, zapłacił nim dług kolegi i przyjaciela lat dziecinnych.

Nad rankiem dojechali do Nadstrypia, lecz Iwaś nie chciał z razu zajechać przed swoją chatę, dopiero Semeńko zdołał go do tego namówić.

Weszli więc obaj do chaty, w której środku leżał trup Hawryłów pośród licznie gorejących świec. Widok dziada na nowo obudził boleść w sercu Iwasia; załamał ręce i srodze się rozpłakał. Semeńko klęknąwszy u nóg zmarłego, odmawiał pacierze za spokój duszy jego.

W kilka godzin później odbył się pogrzeb, szedł xiądz proboszcz, niesiono chorągwie, a para czarnych wołów, wiozła trumnę ze zwłokami Hawryły.

Po pogrzebie miała być stypa, lecz prócz kilku pijaków, którzy byle gdzie lezą za kieliszkiem wódki, i paru bab żebralnych, nikt nie zagościł do chaty Iwasia.

W całej gromadzie był jeden głos, że Iwaś był sprawcą kradzieży, że Iwaś okradł własnego dziada.

XIV.

Kłopoty Semeńkowe.

I naszego Semeńka, który z przyjaźni towarzyszył Iwasiowi, czekały kłopoty w rodzinnej wiosce, bo Hnat wydawszy córkę, a więc czując się osamotnionym, zapragnął mieć przy sobie syna, któryby był mu pomocą w gospodarce, tem bardziej, że Semeńko był już nateraz zdolnym choćby i do najcięższej pracy.

Jeźli sobie przypomniecie moi mili, to Semeńka ojciec już od samego początku nie był wielce przychylnym nauce szkolnej syna — bo będąc dumnym ze stanu swego, który w krwawym pocie zarabia na utrzymanie reszty ludzi, obawiał się uczynić go niezdolnym do wieśniaczego życia. Sądził że nabierając coraz więcej potrzeb, nie potrafi się ostać w tym tak szlachetnym stanie, że z czasem przywykłszy do kapoty, zrzuci ze siebie opończę, ze wzgardą odepchnie misę barszczu, która uczciwie żywiła jego ojców.

I miał roztropny Hnat trochę słuszność, chociaż mógł się w tym razie mylić; bo nic łatwiejszego, jak dobre porzucić dla lepszego, jak odwyknąć od biedy a przylgnąć do zbytku.

O Semeńka płonną była takowa obawa, bo on w szkole nie stąpał po różach, raczej po cierniach. Łamiąc i szamocząc się z nędzą, nauczył się cenić grosz zapracowany własną pracą, skąpany w pocie uznojonego czoła; a chociaż chęć do nabywania coraz więcej wiadomości, nie dozwalała mu rąk opuszczać, toć czuł, że gdyby jej się wyrzekł jak wielu innych, mógłby w chacie ojca znaleść zawsze chleb codzienny bez kłopotów i frasunku o jutro.

Lecz widząc na Iwasiu świeży przyklad zepsucia, Hnat silnie obstawał przy swojem mimo próźb syna i wstawiającej się za nim matki.

Nie było innej rady, jak udać się znów do xiędza probszcza i pana wioski, gdyż ci tylko mądrem słowem potrafiliby może przeprzeć upór ojca i namówić go ku lepszemu.

Ale i ten środek chybił; Hnat mimo namów pana i kazań Jegomości, uparł się na swojem i Semen musiał pozostać w domu, musiał się wyrzec dalszych nauk.

Nie potrzebuję wam mówić, jak boleśnem było to dla Semena, lecz jako dobry syn, bez szemrania uległ woli i rozkazowi ojca i jął się pracy.

Z razu odwykłemu od ręcznej pracy rolnika, robota nie szła składnie, lecz nie zniechęcając się a dołożywszy starania, wnet szło mu raźnie, a gdy w sześć niedziel nadeszły żniwa, Semen, który w początku więcej sobie nakaleczył rąk niż naciął zboża, wkrótce nabył wprawy i przyspiewując żeńcom nabożne i światowe pieśni przodował między najlepszymi.

Tu przytoczę wam piosnkę, którą Semen po całodziennej pracy do domu wracając, zwykł był nucić:

Już słoneczko się schowało
Za zielony las,
Skowroneczka spiew umilknął
Z pola wracać czas!

Potem zrosił nasze czoła
Znużył ręce trud,
W domu czeka nas wieczerza,
Zaspokoi głód.

Niech więc Panu pieśń wesoła
Zabrzmi z piersi wraz,
Dzienna praca już skończona,
Z Bogiem spocząć czas!

Ta ochota Semena do pracy pogodziła po troszę Hnata ze szkołami, przejrzał, że można umieć i składnie pisać i prędziuchno rachować, a być oraz rolnikiem i pracownikiem do roboty skorym.

Jak wszystko na tym ludzkim świecie przemija, tak przeminęło skwarne lato a nadeszła jesień, ta najpiękniejsza u nas pora roku, obfitująca w zebrane plony, a rzucająca ziarno posiewu do przyszłych, daj Boże, zbiorów!

Semen w coraz to nowej pracy, wnet młócąc, kosząc lub orząc pługiem chlebodajne skiby, tracił z każdym dniem nadzieję powrotu do szkoły.

XV.

Iwaś gazdą.

Wola ojca, która święta być powinna dobremu dziecku, przytrzymała Semena w domu; śmierć dziada i osierocenie ojcowszczyzny zmusiły do tegoż samego Iwasia. Przerwanie

nauk nie osmuciło Iwasia, nawet gazdowanie nader przypadło mu do smaku, bo dogadzało ono jego chęci starszowania, a czyniło niezależnym od nikogo. Tak w swym rozumie sądził Iwaś i mylił się, bo gdzież nam znaleść człeka niezawisłego zupełnie od nikogo? Zapominał, że należał do Pana, który króluje na niebiesiech a rządzi światem, że zawisł od swoich bliźnich, bo każdy winien zarabiać sobie na ich cześć i miłość, a nie na wzgardę i obojętność.

Lecz Iwasiowi wychowanemu przez matkę i dziada, u których święta nasza wiara była w poniewierce, już z młodu brakło Boga w sercu, a postępkami swemi nie zyskał sobie dotychczas ani współczucia bliźnich, ani ich szacunku. Wprawdzie Bóg w nieograniczonem swem miłosierdziu mógłby mu przebaczyć jego winę i wybaczyliby mu ją ludzie, ale ta tylko wina bywa zmazaną, ktorą obmywają łzy szczerego żalu, po której następuje poprawa. Do niej otwierała się teraz droga Iwasiowi w nowym dla siebie stanie gospodarza-rolnika, mógł zatrzeć winy niedbałego studenta i lekkomyślnego hulaki. Ale jego bawił tylko ten nowy zawód, więc z razu zajął się szczerze, cieszył tłustem bydełkiem i dojrzewającą, pozłocistą pszeniczką, lecz w robocie chciał się wyręczać drugimi, a pracy rąk własnych wstyd mu było. Pożądał zatem zbierać owoce zasiewu obcej ręki, aby ich użyć; a zapomniał o tem przykazie Bożem:

„*W pocie czoła twego pracować będziesz.*“ (D. n.)

Pożegnanie kapłana.

Znacie wy moi ludzie kochani, miasteczko Sokal w Żółkiewskiem? Nie wielkać to mieścina i tyle jeno ma ładnego, że płynie tam sina woda naszej polskiej rzeki Bug; na najwyższym wzgórku stoi biała cerkiewka, po jednej stronie Buga klasztor OO. Bernardynów z cudownym obrazem Najświętszej Panienki, a po drugiej za miasteczkiem kościółek farny, gdzie mnóstwo pobożnego ludu zgina kolana przed Panem nieba i ziemi.

Otóż przy tym kościółku, obok dobrego i czcigodnego xiędza plebana, był wikarym xiądz Michał Lic — istny anioł ziemi. Bóg zesłał go w miłosierdziu swojem nieskończonem, biednemu ludowi co pracuje i cierpi, żeby mu otarł łzę, nauczył jak żyć poczciwie, oświecił jego dziatwę, pobłogosławił konających na drogę wieczności, a wszystkim przyniósł pomoc i pociechę.

Xiądz Michał w Sokalu odbył premicję, co ma się znaczyć pierwszą mszę świętą, którą kapłan odprawia; i przez siedm lat pracował tu niezmordowanie. Nie widziano ani razu, żeby kto przyszedł do niego z prośbą o pomoc i radę, a on go puścił z niczem; nie było łoża chorego, przy któremby z anielską pociechą nie stanął xiądz Michał, ani jednego pogrzebu, za którymby on nie szedł z gorącą, serdeczną modlitwą na ustach.

Przy szkółce był katechetą, a gdy mówił onym dobrym dziatkom o Bogu i cnocie, to głos jego stawał się wzruszony i rzewny, a twarz jaśniała jakimś blaskiem z nieba, i dzieci garnęły się do niego, całowały jego ręce, a każde sobie mówiło, że jego nauki będzie pamiętać całe życie.

Kto poszedł do niego, odchodził lepszym człowiekiem. W dnie odpustne, u kratek jego konfesjonału bywał taki nacisk, że po kilka godzin xiądz Michał nie wstawał z swego miejsca. Ale jemu praca poczciwa nigdy nie była ciężką, bo kochał Boga i ludek i każdą chwilkę swego życia im poświęcał. Z ubogimi dzielił się ostatnim groszem, w modlitwie, czuwaniu, postach przewodniczył wszystkim, choć słabego był zdrowia. To też go wszyscy czcili i kochali jak ojca, a kiedy przed czterma laty xiądz arcybiskup lwowski chciał go przenieść na inne miejsce, Sokalanie tak prosili i błagali, żeby ich nie opuszczał, że nie miał serca odmówić i został.

Teraz dopiero przyjął miejsce kapelana w Jazłowcu, co to tam jest klasztor dziewic poświęconych Najświętszej Pannie. O! dopierożto trzeba było widzieć moi ludkowie kochani co się to działo w Sokalu! Jak się ludzie o tem dowiedzieli, jak zaczęli chodzić a prosić a płakać: „zostań ojcze, zostań z nami! bo co my bez ciebie poczniemy!“ — tak biednemu xiędzu Michałowi

aż się rozpływało serce od żalu, ale taki już teraz nie mógł ich posłuchać, bo miał wyższy rozkaz iść do Jazłowca. Więc z owej ambony gdzie przez kilka lat tak ślicznie lud nauczał, przemówił jeszcze raz do niego, żeby go pożegnać!...

Jego słowa proste, miłe a rzewne, zagłuszyły płacz i głośne szlochanie w całym kościele.... I patrzył Bóg z nieba na swego wiernego sługę i na ten ludek co go tak wdzięcznie pokochał i aniołowie uśmiechnęli się do nich, a kościółek rozjaśnił się światłem miłości, wiary i pociechy.

Przez trzy dni ostatnie u xiędza wikarego drzwi się nie zamykały, bo kto żył szedł jeszcze po radę i błogosławieństwo jego. Bylić tu ludzie każdego stanu i wieku od pana do żebraka, od małego dziecka do starca, i Rusini i Polacy, boć to jedno przed Bogiem. Zebrał się też wszystek lud z Sokala, gdy już xiądz Michał odjeżdżał, bo wszyscy chcieli go odprowadzić. A każdy z gospodarzy dobijał się o to szczęście, żeby wieźć swojemi końmi i wózkiem ukochanego kapłana. On do każdego uśmiechnął się słodko, przemówił poczciwe słówka od serca, dziatwę przytulił jeszcze i pobłogosławił.

W sąsiedniej wiosce Zawiszni dopiero rozstali się pod figurą. — Xiądz wikary ze łzami w oczach odjechał a ludek się skupił na wzgórku i długo, długo tak jeszcze stali, patrząc za ukochanym najmilszym ojcem, aż póki nie zniknął im z oczu.

Napisaliśmy wam to w tym „Dzwonku“ dlatego, abyście to i wy, co go nie znacie, wiedzieli trocha o tym dobrym kapłanie i westchnęli za nim do Boga — a podrugie też dla tego, abyście mieli piękny przykład z ludu Sokalskiego, jak szanować i kochać umie swoich pasterzy.

Od pisarza „Dzwonka.“

Panu wójtowi z Rokitnicy! Piszecie do mnie list panie wójcie i żalicie się w nim bardzo, że przy tych nowych ustanowach dla gromad mają ludzie wiele kłopotu, bo nowego prawa gromadzkiego nic nie rozumieją. Otoż ja wam radzę kupić sobie książeczkę: *„Nauka gromadzka, co ją każdy porządny gospodarz dobrze znać powinien“*, bo w tej książeczce jest całe to nowe prawo gromadzkie tak jasno jak na dloni wyłożone — więc kupcie ją sobie za 25 grajcarów w mieście, gdzie jest księgarnia, a będziecie mi potem dziękować!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.